

W Izraelu mówią o sobie *Polanim*, Polacy. Choć od lat mieszkają we własnym, żydowskim kraju, podskórnie wciąż są związani z miejscem pochodzenia. Dzieli ich stosunek do Polski, uzależniony od roku i okoliczności wyjazdu, łączy nostalgia związana z tym, co najlepiej im znane: zapachami, smakami, pejzażem, sposobem myślenia. Na ślady tej tęsknoty, zwożonej do Izraela przez dekady, można trafić na każdym kroku.

Ich historie są tragiczne, ale i zabawne: czytamy o grupie Żydów, którzy w 1934 roku wyruszyli z Warszawy do Palestyny na rowerach, o wrocławiance, która wiosną 1948 roku przygotowała ceremonię ogłoszenia niepodległości kraju, o telawiwskim Gomulkowie. O tych, którzy do Polski wrócili, i o tych, którzy stworzyli sobie namiastkę Polski w Izraelu. W kraju tak odległym, a jednak bliskim, bo budowanym od podstaw przez ludzi ukształtowanych przez polską kulturę.

*Karolina Przewrocka-Aderet zamieszkała w Tel Awiwie, przeniosła się tam z Krakowa za mężem. Zabrała się do osvajania miasta i kraju przez znajdowanie znajomych tropów, maleńkich skrawków Polski. Rejestrując pieczołowicie ślady obecności, prowadząc uważne i czułe rozmowy z kolejnymi pokoleniami emigrantów z Polski, przybliży Izrael nie tylko sobie, ale też czytelnikom tej książki.*

**ANNA BIKONT**

**KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET** (ur. 1987) – dziennikarka, korespondentka „Tygodnika Powszechnego” z Izraela. Współautorka antologii *Przecież ich nie zostawię. O żydowskich opiekunkach w czasie wojny* oraz – wraz z ks. Adamem Bonieckim – książki *W Ziemi Świętej*. Nominowana do Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej. W Izraelu mieszka od pięciu lat.

Karolina Przewrocka-Aderet  
POLANIM



## Karolina Przewrocka-Aderet POLANIM Z Polski do Izraela

ISBN 978-83-8049-900-3



Tytuł jest dostępny w sprzedaży również w formie e-booka w formatach EPUB oraz MOBI.

CZARNE.COM.PL



PRZEGLĄD  
POLITYCZNY

Midrasz

CCO  
UMIĘTNOŚCI  
WARSZAWA

CHIDUSZ.COM

Karolina Przewrocka-Aderet

## **Polanim**

Z Polski do Izraela



Wołowiec 2019

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / dzd.pl

Fotografia na okładce © by Popperfoto / Getty Images

Copyright © by Karolina Przewrocka-Aderet, 2019

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Ewa Charitonow

Konsultacja merytoryczna dr hab. Łukasz Tomasz Sroka

Korekta dzd.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / dzd.pl

Skład pismami Warnock Pro i Futura Agnieszka Fryszak / dzd.pl

Książkę wydrukowano na papierze Ecco-Book Cream 70 g/m<sup>2</sup>, vol. 2,0,  
dystrybuowanym przez firmę Antalis Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8049-900-3

## Zamiast wstępu

### Korzenie

Rabbi Jakub powiada: „Świat doczesny to jakby przedsionek świata przyszłego. Przygotuj się w przedsionku, abyś mógł wejść do salonu”.

W izraelskim przedsionku śmierć jest oswojona wcześniej. W żłobkach i przedszkolach, gdy z zejścia do schronu po ataku raketowym z Gazy opiekunki robią dla niepoznaki zabawę. W szkołach, gdy młodzi Izraelczycy po raz pierwszy słyszą o istocie Zagłady. Gdy na licealnych wycieczkach do miejsc pamięci w Polsce poowijani w biało-niebieskie flagi płaczą pod *Arbeit macht frei*. W obowiązkowym wojsku, gdy ze śmiercią i bólem stają wreszcie twarzą w twarz. W rodzinach i wspólnotach, gdzie niemal każdy gdzieś kogoś stracił.

Producenci leków przeciwlękowych i antydepresantów znajdują w Izraelu spory rynek zbytu. Trauma ocalałych z Zagłady jest transgeneracyjna. W izraelskim kalendarzu nieproporcjonalnie wiele świąt, nie licząc religijnych, dotyczy ofiar wojen, Szoa czy politycznych mordów. Miasto Ośmiu (Kirjat Szmona), Wzgórze Trzech (Giwat ha-Szlosza) czy Ścieżka Dziesięciu (Netiw ha-Asara), choć jako nazwy miasta i kibuców brzmią lekko, upamiętniają liczbę poległych tam żołnierzy. Podobnie jest z miejskimi placami, ogrodami i parkami, jak Plac Dziesięciu w Haderze, Park Pięciu w Aradzie czy Ogród Pamięci Ofiar Terroryzmu i Ogród Pamięci Poległych Żołnierzy pośrodku

największego zieleńca Tel Awiwu, parku ha-Jarkon, przy którym mieszkam.

W izraelskich wiadomościach niemal codziennie wspomina się o nowych ofiarach konfliktu. Śmierć z wieczornych serwisów informacyjnych ma krótki termin ważności; jest tak częsta, że po chwili już mało ciekawa. Na wieść o niej Izraelczycy reagują życiem ze zdwojoną siłą: w czerwcu 2016 roku po ataku na czekoladziarnię w telawiwskiej dzielnicy Sarona pojawiają się w lokalu już następnego dnia. Chcą pokazać, że się takiej śmierci nie boją.

Ta regularna konfrontacja sprawia, że śmierć przestaje być gościem, a zaczyna być domownikiem. Należy ją oddramatyzować, pogodzić się z nią, jak z uczuciem topnienia ciała w upalne sierpniowe południa, zgrajami kotów o ludzkich spojrzeniach na dziesiątkach telawiwskich skwerów czy wszedobylską hucpą. A jednak, na przekór temu wszystkiemu, im dłużej w Izraelu mieszkam, tym bardziej dziwię się, jak traktowana jest tutaj śmierć.

Śmiertelnie poważnie.

Właśnie teraz, gdy nad Tel Awiwem zapada zmrok, zaglądam do naszego salonu. Oto mój mąż, dziennikarz czołowej izraelskiej gazety, autor kolumny z nekrologami („Po śmierci”), przygotowuje kolejną publikację. Przegląda notatki przyniesione z archiwum, przesłuchuje materiały z YouTube’a, śledzi gestykulującą na ekranie laptopa postać zmarłej przed tygodniem starszej kobiety.

Nie mogę powstrzymać wyobraźni: kobieta materializuje się przed moimi oczami. Warszawianka z pochodzenia, stoi za plecami męża (nic mu o tym nie mówię). Śledzi wzrokiem kolejne zdania. Jedną rękę wsparła na biodrze, w palcach drugiej trzyma papierosa. Stoi już długo, złości się, mógłby już przecież kończyć, a on dopiero pisze o getcie! Gdy coś mu umyka, czegoś nie zauważa, ona ostrożnie strzepuje popiół z papierosa, który upada na materiały, wycinki z gazet, stare zdjęcia. Mąż nanosi poprawkę, kobieta się uśmiecha. Za chwilę dokończy palenie i ruszy w dalszą drogę. Tuż obok, na naszej czerwonej kanapie,

siedzą trzej staruszkowie o młodych twarzach. W ciszy czekają na swoją kolej.

Tak w naszym domu wygląda niemal każdy wieczór. Zmarli są tutaj mile widziani.

Żydowska ciągłość, twierdzą Amos Oz i Fania Oz-Salzberger, zawsze zależała od słów. Może dlatego rubryka mojego męża jest tak popularna. Zwłaszcza wśród tych, którzy swoje już przeżyli i nieświadomie szukają w niej znajomych nazwisk. Mówią, że to dla piszącego *micwa*, przykazanie, obowiązek. Wierzą, że ludzkie życie raz opisane – choćby tylko i w jednej kolumnie tekstu – nie ulegnie zapomnieniu.

Pamięć w Izraelu, kraju od podstaw zbudowanym na imigracji z różnych kręgów kulturowych, jest szalenie ważna. To w przeszłości szuka się punktów wspólnych, punktów zaczepienia, na których można by zbudować zbiorową tożsamość. Bez przeszłości nie ma przyszłości – Izraelczycy są o tym przekonani.

Są i tacy, którzy po prostu uważają ludzkie życie za ciekawe. W Izraelu mówi się, że niemal każdy Żyd to książka, a mistrzowie filmowych scenariuszy mogą się uczyć z rodzinnych historii i zawiłych ścieżek żydowskich genealogii.

W dziedzinie ich rozplątywania rozwinął się odpowiedni rynek. Izraelskie radio Kan nadaje audycję „Seksja poszukiwań bliskich”. Izraelski start-up Myheritage.com pomaga w odnajdywaniu ich przez tworzenie rodowodów i przeszukiwanie rodzinnych baz danych online.

Ale nade wszystko – bodaj najbujniej i najciekawiej – rozwinął się izraelski rynek detektywów genealogicznych. Powiększyła się klientela: o dzieci, które na chwilę przed śmiercią rodziców gorączkowo porządkują rodzinne archiwa, pragnąc zachować fakty od zapomnienia. I o te, które po ich śmierci budzą się z wybrakowaną pamięcią. O tych, co przypadkiem dowiedzieli się właśnie, że mają żydowskie korzenie. Coraz rzadziej, siłą rzeczy, zgłaszają się ocaleni z Holocaustu, którzy wciąż wierzą, że po latach jakaś nowa technologiczna siła pozwoli im jednak

odkryć, że nie zostali po tamtej wojnie sami. Że zobaczą jeszcze kochane twarze.

Ponad siedemdziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej detektywi genealogiczni poszukują zaginionych członków rodzin, łączą gałęzie rodowych drzew, docierają do dokumentów i świadków, potem zbierają zaproszenia na rodzinne zjazdy. Nie chodzi im o szukanie zmarłych, lecz o odnajdywanie i łączenie żywych. Tak by zdążyli się spotkać przed śmiercią.

W większości przypadków tropy prowadzą na ziemię dawnej Rzeczypospolitej.

## Gidi

– Ustalmy na początek kilka szczegółów. W Polsce przed wojną żyły ponad trzy miliony Żydów. Dlatego dla nas, ludzi, którzy tam się urodzili, dla naszych dzieci Polska jest po prostu bardzo ważna. – Detektyw Gideon Poraz ociera pot z czoła i odkłada łopatę.

Ma sześćdziesiąt dziewięć lat, wypiełgowany ogród w moszawie w centrum Izraela i jak mówi, średnio kilkanaście żyć w miesiącu. Można by mu to odebrać, zarzucić przesadę i to, że zbyt wiele czasu spędza pod palącą lampą południowego słońca, nad oczkiem wodnym, które sam wydrążył. Ale potem, gdy się już podrepcze za nim do narożnego gabinetu i podejrzy, jak włącza komputer i na dwóch ekranach rozkłada przedwojenne dokumenty, gdy z tych ekranów wychodzą powoli Warszawa, Łódź, Kraków, Wilno, Lwów, gdy mnożą się imiona, daty, nazwiska i znaki zapytania – wtedy rozumie się wreszcie, co właściwie Gideon – dla przyjaciół Gidi – ma na myśli.

Na wszystko, o czym zaraz tutaj opowie, ma odpowiednie tabelki. Wynika z nich, że odkąd dziesięć lat temu zrezygnował z branży high-tech, z przywilejów korporacji, z zachwyków izraelskiej Doliny Krzemowej, odnalazł ponad piętnaście tysięcy osób z ponad czterystu rodzin. Kolejna tabela wskazuje, że w ciągu roku Gidi prowadzi średnio osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt spraw. W tej chwili szuka piętnastu osób i żyje ich życiem.



Taktyka. To ona jest najważniejsza. Na początku nowych poszukiwań rozpisuje ją dokładnie, planuje, od kogo zacząć, kogo zapytać, jakie archiwa przeszukać. Przydaje mu się wiedza z poprzedniej pracy, doskonała pamięć i umiejętność błyskawicznego kojarzenia faktów. Korzysta z baz danych, kreatorów drzew genealogicznych, branżowych wyszukiwarek. Ale największą wartość mają dla niego znajomości w archiwach rozsianych po całym świecie. Przeciężny poszukujący może mieć z tym problemy. To fach z prawdziwego zdarzenia, dlatego Gidi szkoli w Archiwum Syjonistycznym w Jerozolimie kolejnych adeptów sztuki detektywistycznej w dziedzinie genealogii.

Gidi:

– Istnieje wiele dokumentów o ludziach, którzy wojnę przeżyli, a niewiele o tych, którzy jej nie przeżyli, choć przecież w ewidencjonowaniu śmierci Niemcy byli nieprzeciętnie skrupulatni. Najcenniejszym skarbem jest więc dla mnie moment, gdy odnajduję osobę, o której istnieniu nie wiedziałem. A to zdarza się często.

Podobno trudno mu oddzielić się od emocji. Zgłaszają się do niego dzieci ocalałych, drugie pokolenie, spanikowane, bo nagle dzień po śmierci matki czy ojca okazuje się, że o ich historii nie wiadomo niczego. Jeszcze chwilę temu można było coś z tym zrobić – i się z tej możliwości nie korzystało – a teraz nie ma już kogo zapytać.

Gidi wie, jak to jest. Poznał gorycz tego uczucia.

Nie wiedział – bo skąd niby? – jak nazywali się jego dziadkowie. Wiedział tylko, że pochodzili z Polski. Oraz że dziecko rodziców ocalałych z Holokaustu nie zadaje zbyt wielu zbędnych pytań. Najlepiej niech nie pyta wcale.

Nie pytał. Przywykł do niewiedzy. Nie on jeden – milczenie w drugim pokoleniu po Holokauście, w młodym, silnym Izraelu, który nie chciał pamiętać o strachu, stało się generacyjnym doświadczeniem dzieci polskich Żydów. Śmierć rodziców Gidięgo kilkanaście lat temu je przypieczętowała.

Pozornie. Bo nie wszystko da się schować. Nie na zawsze.

Skrywane tajemnice rodziców zaczęły powoli wychodzić z zakurzonych szuflad i pudełek wyjmowanych z szaf przy porządkowaniu rzeczy po zmarłych.

Gidi:

– Zadzwoiła do mnie siostra. W stercie dokumentów mamy znalazła informację, że w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej, rodzina mamy posiadała kamienicę. Nigdy wcześniej o tym nie slyszeliśmy, mama nie powiedziała ani słowa.

Gdy adwokat poprosił go o listę wszystkich członków rodziny, Gidi zaczął rysować rodowe drzewo. I nagle zorientował się, że o swojej rodzinie nie wie prawie nic. Z zakamarków pamięci wy-skrobywał strzępki rozmów, które prowadził z rodzicami między długimi przerwami pełnymi ciszy. Wiedział, że ojciec Szlomo Pozner pochodził z Jaworzna. Matka Janka Bajer z Puław. I że przez większość życia mieszkała w Łodzi. Wiedział, że obydwójce założyli przed wojną rodziny. Że mama straciła na wojnie męża Mordkę Radoszyckiego i dwoje małych dzieci: córkę Henrykę i syna Chaima – Imka. Że do Palestyny przyjechała z córką w 1947 roku i obie zmieniły imiona: na Jehudit i Awiwę.

Że po wybuchu wojny Szlomo uciekł na wschód, został aresztowany przez Sowieców, zesłany na Syberię, a po „amnestii” przez Taszkient – jako opiekun dzieci z Teheranu – w lutym 1943 roku dostał się do Palestyny. Szukał nadaremnie żony i dzieci, dowiedział się, że zginęły. Poznał Jankę-Jehudit, ożenił się ponownie. Miłość? Może w tym i była, ale wtedy każdy chciał po prostu zacząć życie od nowa. Najlepiej jak tylko potrafił.

Gidi miał być symbolem nowego początku, może więc nie-przypadkowo urodził się 14 maja 1948 roku, w dniu ogłoszenia izraelskiej deklaracji niepodległości?

Ktoś z rodziny stanął wówczas przy radiu. Czekano w napięciu. Silny głos Ben Guriona wybrzmiał wreszcie wśród trzasków.

– Ogłasza! Tnijcie!

Zaczął się obrzezanie.

W dniu, w którym wszyscy wylewali łzy szczęścia, mały Gidi Poraz płakał z bólu.

O pierwszej rodzinie ojca wiedział tylko tyle, że Szlomo założył ją w Krakowie. Z tą informacją Gidi godził się przez lata, nie dopytując o szczegóły, bo i tak wszelkie próby spełzły na niczym. Czasem tylko przystawał zdumiony, słysząc, jak ojciec przywołuje z przedwojnia jedno imię, najwyraźniej mu drogie. „Szpicer to, Szpicer tamto” – mówił, uśmiechając się przy tym radośnie.

Jedynе imię, jakie ojciec przywoływał z przedwojnia, należało do jego psa.

Córki pojawiały się w tych strzępkach niemal przy okazji. Jakby były tematem mniej ważnym, może bardziej zatartym w pamięci. Bohaterkami drugiego planu w historiach o tym, jak Szpicer każdego dnia prowadził je na przystanek i odbierał, gdy wracały ze szkoły.

Lata mijały, a Gidi nie wiedział, że w szufladzie swojego biurka ojciec przechowuje zdjęcia: dziewczynek z białym pieskiem, matki z córką na tle ogródka, portret rodziny, której już nie było.

Gdy je odnalazł, stały się ważniejsze od łódzkiej kamienicy.

Zaczął drążyć. Przekopywał archiwa w Izraelu, w Warszawie, Łodzi, w Waszyngtonie, wymieniał mejle z pracownikami instytucji badawczych, którzy pomagali mu w szukaniu dokumentów. Rodowe drzewo rosło powoli. Dotarł do czterystu imion i nazwisk. Gdy drzewo przemówiło po raz pierwszy, zabołało: w Holonie pod Tel Awiwem mieszkała kuzynka matki. Przed śmiercią Jehudit opowiadała, że zginęła w jednym z obozów.

Matka zmarła, nie spotkały się. Gidi obwiniał się o zaniedbanie.

Zadośćuczynienia szukał w sprawie kamienicy. Liczył, że odzyska bodaj jedną rodzinną pamiątkę. Choć włożył w sprawę dużo wysiłku, nie zdobył wystarczających dla sądu informacji.

Sprawa upadła, Gidemu było przykro.

Wydaje mu się dzisiaj, że z dobrze płatnej posady inżyniera w jednej z najlepszych w Izraelu firm z branży IT zrezygnował w dniu, w którym zadzwoniła tamta staruszka. Prosiła o pomoc w odnalezieniu bliskich. Udało się odnaleźć kilka osób, co sprawiło Gidemu wiele radości. Postanowił rzucić pracę i zająć się tym na stałe.

Wkrótce zaczęły pojawiać się chwile bolesnej refleksji. Bo wśród setek zidentyfikowanych, ludzi mu obcych, wciąż brakowało imion tamtej kobiety i tamtych dwóch dziewczynek. Współwłaścicielek Szpicera.

W zeszłym roku drzewo drgnęło ponownie. W jednym z najważniejszych niemieckich archiwów, International Tracing Service, Gidi odnalazł kopie dokumentów obozowych. Zapisano w nich dane ojca: Pozner Salomon, Kraków, Koletek 19. Na kolejnej karcie: Pozner Ester, w marcu 1942 roku deportowana z getta krakowskiego, zamordowana. Na jeszcze innej: Sabina z domu Glass.

Gidi rozpoznał w niej pierwszą żonę ojca.

Z zielonego klasera, otwieranego z nabożeństwem i wzruszeniem, wyjmuje jeszcze jedno zdjęcie, zdjęcie-pocztówkę. Patrzy z niego młoda kobieta o żywym spojrzeniu, filmowym uśmiechu i modnie upiętej fryzurze. Na odwrocie napisano po polsku: „Przesyłam Ci zdjęcie pięknej, nieodżałowanej Leny. Umarła 18 kwietnia 1945 roku w Malhof, w Niemczech, dwa tygodnie przed końcem wojny. Była za subtelną, by przeżyć te okropności. Serce nie wytrzymało”.

Podpisu brak. Widnieją tylko miejsce i data: Kraków, 8 września 1947 roku.

Gidi patrzy i nic nie mówi. A jednak trzeba mu zadać to pytanie:

- Łatwiej ci teraz trochę? Z tym, że znasz wreszcie ich imiona?
- Tak, czuję ulgę. Latami miałem do siebie pretensje, że nie zapytałem ojca wcześniej.
- Gdybyś teraz miał możliwość, zapytałbyś go?
- Nie wiem, czy w ogóle potrafiłby odpowiedzieć. Właśnie to zrozumiałem.

Jest ciepłe wiosenne popołudnie. Ogród Gidiego chowa się w cieniu drzewa peltoforum.

Ciszę przerywa telefon. Dzwoni kolejna klientka, znajoma żony. Gidi notuje na kolanie wyimki jej historii, nazwiska poszukiwanych osób. Kobieta, lat sześćdziesiąt dziewięć, korzenie w Warszawie, rozległa przedwojenna rodzina, po wojnie zostali tylko ojciec z bratem. Jest już za późno, ojciec odszedł, nie ma do kogo się zwrócić. Prosi o stworzenie drzewa genealogicznego i odnalezienie. Kogokolwiek, czegokolwiek.